

Godło: KASZTAN

13-15 Cat

## Legenda o kasztanowcach w Charbrowie

Niedaleko Łeby znajduje się niewielka wieś, położona wśród pięknych lasów i urodziny pól. Dziś nie jest to znana wioska, ale mało kto wie, że znajduje się tam kasztanowa aleja, o której kiedyś snuto opowieści.

Legenda głosi, że małżeństwo Klara i Wincenty osiedliło się w tutejszym pałacu. Budynek był zaniedbany, ale nowi właściciele doprowadzili go do porządku i urządzili z przepychem. Za pałacem były sady, ogrody warzywne, park i staw, zaś z boku fontanny, do których prowadziły alejki utworzone z pięknych krzewów i kwiatów.

Wincenty i Klara prowadzili w nim szczęśliwe i spokojne życie. Gospodarz często wyjeżdżał w podróże. Z każdego wyjazdu przywoził najróżniejsze krzewy, sadzonki drzew lub nasiona, żeby ozdobić nimi swój pałac. Podczas jednej z podróży zobaczył na stoisku starszej kobiety kasztany o nietypowym jaskrawym kolorze. Postanowił je kupić. Kobieta powiedziała mu wtedy:

-Te kasztany mają niezwykłą moc!

-Jaką moc? -zapytał zdziwiony Wincenty.

-Gdy je zasadzisz, to się przekonasz -odpowiedziała z powagą.

Wincenty zapłacił za kasztany, a na odchodne usłyszał, że musi włożyć serce w ich uprawę.

Gdy tylko wrócił do swojej miejscowości, od razu zasadził kasztany po dwóch stronach ścieżki wiodącej do głównego wejścia pałacu. Przez wiele lat troszczył się o drzewa, pielęgnował je, podlewał. Z roku na rok kasztanowce stawały się coraz wyższe, silniejsze, a ich konary grubiały i obficie owocowały.

Pewnego dnia Klara źle się poczuła, jak się później okazało, spodziewała się dziecka. Wincenty, gdy tylko się o tym dowiedział, stał się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Mężczyzna już nie tylko zajmował się drzewami, ale równie troskliwie żoną. Kiedy na świat przyszedł ich syn, to postanowili, że dadzą mu na imię Kasztaniel, gdyż wierzyli, że ich dziecko urodziło się dzięki mocy kasztanowców. Chłopiec dorastał i stawał się silniejszy. Chętnie pomagał też ojcu opiekować się drzewami.

Któregoś dnia chłopiec wybrał się z ojcem na spacer do parku. Rosły tam różne drzewa, ale jedno, to na uboczu, wyróżniały bardzo dziwne owoce. Chłopiec był ciekawy i zjadł je. Gdy Kasztaniel wrócił do domu, to poczuł się bardzo źle. Miał wysoką gorączkę i rodzice wezwali znachorów. Jednak żaden z nich nie wiedział, co mu dolega. Mijały dni a stan chłopca pogarszał się. Zrozpaczeni rodzice nie wiedzieli co robić, więc postanowili wezwać szeptuchę. Kobieta obejrzawszy chorego, podejrzewała zatrucie. Wtedy ojciec szybko przypomniał sobie o wyprawie do parku i zerwanych owocach.

Szeptucha powiedziała mu:

-Chłopiec musiał zjeść trujący owoc z przeklętego drzewa należącego do wiedźm, które od wielu lat organizują pod nim sabat.

Rodzice bardzo cierpieli, ponieważ nie wiedzieli, co mają w tej sytuacji zrobić, by uratować syna. Widząc to, szeptucha ofiarowała im maść i poradziła:

-Codziennie o północy nacierajcie maścią ciało dziecka.

Robili tak, jak kazała, lecz szeptuchowa kuracja nie pomogła i chłopiec zapadł w śpiączkę. Klara całymi dniami i nocami siedziała przy jego łóżku i nacierała go maścią, ale traciła już nadzieję na powrót syna do zdrowia. Wincenty zaś nie mógł patrzeć, jak oboje marnieją w oczach. Cały czas myślał, co ma zrobić, by im pomóc.

Pewnego wieczoru mężczyzna poszedł się przejść do parku i ujrzał tam światło oraz usłyszał głosy jakiś kobiet. Postanowił to sprawdzić, gdy nagle jego oczom ukazało się rozświetlone kolorami drzewo, które swoim blaskiem ożywiało okolicę. Wokół niego latały wiedźmy i wymieniały zaklęcia. Wincenty natychmiast podbiegł do nich, krzycząc:

-Błagam, ratujcie mojego syna! -powtórzył wielokrotnie.

Żadna z nich nie zareagowała, tak były zajęte swoimi rytuałami. Park przeszył zrozpaczony głos mężczyzny i wtedy wściekłe wiedźmy zapytały chórem:

- Co tu robisz i czego chcesz?

Wincenty po raz kolejny powtórzył:

- Pomóżcie mojemu synowi. Zjadł owoc z waszego drzewa i zapadł w śpiączkę.

Wiedźmy zaśmiały się głośno, czym przeraziły Wincentego ogromnie.

- Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj!

- Nie licz na naszą pomoc!-krzyknęły.

Mężczyzna próbował z nimi rozmawiać, ale one skupiły się na sobie, nie chciały zdjąć kamienia z jego serca ....Odszedł więc od nich i wrócił do domu.

Mijały dni, a chłopiec nie odzyskał przytomności. Wincenty przypomniał sobie kobietę, u której kupił kasztany i postanowił ją odszukać.

Niestety, mimo usilnych poszukiwań, nie znalazł sprzedawczyni kasztanów. Tracąc nadzieję na spotkanie z nią, wrócił do domu. Znużony wędrówką usiadł pod jednym z dorodnych kasztanowców i zasnął. Nagle usłyszał szum drzew i zobaczył mnóstwo kasztanów spadających z wyhodowanych przez siebie roślin. Temu wszystkiemu towarzyszył głos znajomej handlarki, która mówiła, że wśród leżących na ziemi kasztanów są takie, które mają uzdrawiającą moc, a znaleźć je może ten, która szeroko otworzy oczy i serce....

Ocknął się z sennego letargu i jego myśli przywołały wspomnienia o czasach, kiedy z radością dbał o wszystko, co mu los powierzył – nasiona i sadzonki drzew, żonę, syna.

Wtedy łzy szczęścia spłynęły po jego twarzy i zrosiły leżące nieopodal kasztany. Te zaczęły świecić niespotykanym blaskiem. Wzruszony ojciec pozbiierał je i pobiegł do domu. Tam niewiele myśląc, położył rozżarzone kasztany na oczach i sercu syna, by tchnąć w niego życie. Niedługo czekał, by móc uściskać wątłe ciało wybudzonego chłopca, bo ten uniósł ręce i dał znać, że widzi oraz czuje. Radości nie było końca.... Kasztanieł pod czułą opieką rodziców i dzięki mocy kasztanów stawał się chrobry. Szybko więc rozeszła się wieść o wyjątkowości tutejszych drzew, które odwdzińczyły się ludziom za opiekę, uzdrawiając chorego i pocieszając strapionych. Z czasem miejsce, gdzie rosły, nazwano Charbrowem, by upamiętnić ich moc i działanie.

Gdy zaś szczęście wzięło górę nad ludzką niemocą, dosięgało tylko tych, którzy potrafili je mnożyć. Tak było i tym razem, gdy wieść o nim dotarła też do okolicznych wiedźm. Te postanowiły ogrzać się w jego blasku, zbierając tutejsze kasztany, ale one zamieniały się w kamienie.

A kasztanowce...? Do dziś rosną przed pałacem w Charbrowie.

**Legenda o piasku z łebskiej plaży, o tym jak powstały nazwy Łeba i Wicko oraz skąd się wzięły wydmy.**

Dlaczego figury z piasku, które lepimy jednego dnia, następnego znikają?

Kiedys w majówkę, nie pamiętam już którą, upalna, słoneczna pogoda pozwoliła naszemu zastępowi skautowemu „Północnym Pszczółom” urządzić sobie trzydniowy biwak w Łebie na plaży. Wczesnym rankiem wszystkie przyjechałyśmy w umówione miejsce. Weszłyśmy na plażę i rozłożyłyśmy się blisko płotku z sosnowych patyków rozdzielającego ją od chronionych wydm. Program majówki był taki. Po rozłożeniu koców, mat i śpiworów, miałyśmy czas na zażycie kąpieli w słonej wodzie i zabawę. Jedna koleżanka, Maja wzięła nawet duży, nadmuchiwany materac do pływania, na którym zmieściła się połowa „Pszczół”. Całe pół godziny poświęciłyśmy na zrzucanie się z niego. Kolejne pół po prostu kąpałyśmy się i grałyśmy w siatkówkę, w co wciągnęłyśmy druhnę Olę, która do tej pory opalała się na kocu.

Potem zrobiłyśmy sobie dłuższą przerwę na przekąskę i wylegiwanie się w słońcu. Po przerwie zaś całym zastępem (razem z druhną) zbudowałyśmy z piasku całkiem duży zamek. Nieźle nam wyszedł. Ja razem z dwoma koleżankami, Emilką i Alą, oddzieliłyśmy się na chwilę od reszty. Miałyśmy pomysł, żeby zlepić piaskowego pieska, który strzegłby naszego zamku. Niestety nie umiałyśmy zrobić tylnych łapek. Nie wiedziałyśmy, co zrobić. Któraś z dziewcząt poradziła, żebyśmy zrobiły w takim razie piesko-syrenkę. Skorzystałyśmy z rady. Płetwa nam ciągle pękała więc z niej zrezygnowałyśmy i zamiast tego zrobiłyśmy na ogonie dziwne wypukłości przypominające takie jak na ogonie krokodyla. W efekcie wyszedł stwór, który miał głowę i przednie łapy psa i ogon krokodyla. Psodylek powstał w pozycji leżącej i był całkiem słodki. Później wyruszyłyśmy do miasta na obiad i do salonu gier „Lider”, w którym było prawie pusto, ponieważ nie było jeszcze wakacji. Gdy wracałyśmy, zaczęło

robić się już ciemno. Zdażyłyśmy wspólnie obejrzeć zachód słońca. Siedziałyśmy na kocach, czerwona kula na niebie właśnie znikła w odmętach morza, kiedy kątem oka dostrzegłam ruch na opustoszałej plaży. Coś poruszyło się przy naszym zamku. Po chwili z przerażeniem zobaczyłam, że nasz piaskowy psodylek podniósł się na przednich łapach i zaczął czołgać w naszą stronę! Szturchnęłam łokciem koleżankę obok i pokazałam palcem figurę z piasku. Dziewczyna zaskoczona i przerażona otworzyła szerzej oczy. Reszta zastępu wciąż wpatrywała się we wspaniałą grę kolorów rozgrywającą się na niebie. – D... druhno... - wyjąkałam. Kobieta spojrzała na mnie zza okularów w metalowych oprawkach. Wskazałam jej niepokojącego piaskowego psodylka. Dziewczyny podążyły za naszym wzrokiem i teraz również obserwowały niecodzienne zjawisko. – Nie uważacie, że jest nawet całkiem słodki?-spytała Maja. Tymczasem figura z piasku dotarła do naszego zastępu i ułożyła się u stóp swoich twórców. Nieśmiało wyciągnęłam rękę w jej stronę, by dotknąć łebka stworka. Okazało się, że w dotyku jest jak zapiaszczone psie futro. Poglaskałam psodylka po grzbiecie, a wtedy wydał z siebie melodyjny pomruk zadowolenia. Druhna wstała, przyniosła trochę patyków i rozpałała ognisko. – Wiecie co? - zagaiła. – Kiedyś, w porcie usłyszałam, jak rybacy opowiadają sobie pewną legendę, która być może wyjaśni nam to zjawisko-powiedziała wskazując psodylka ruchem głowy. Przysunęłyśmy się bliżej, aby uważnie posłuchać gawędy. – Było to dawno temu. Większość statków była wtedy jeszcze drewniana. Większość, a raczej wszystkie. Łebą było niewielkie miasteczko, które prędko rozrastało się wokół stojącego niegdyś samotnie pałacyku księcia zwanego Łebkiem. Nazywano go tak, gdyż głowę miał malutką w porównaniu z szerokością jego barków. Ale dość o nim, przejdźmy do ważniejszych spraw. Najważniejszą wieścią jest, że Morze Bałtyckie zaroilo się wtedy od wszelkiego rodzaju ryb. Wśród nich najrzadszy okaz -łososie tęczowe. Bili się o nie wszyscy. W sumie nic dziwnego; z ryb tych zgotować można było pyszne potrawy, a i zwyczajnie przypieczone nieźle smakowały. A ich łuski twarde były tak, że można było użyć ich do wyrobu butów, toreb i wszelkiego rodzaju innych ubrań. Złóża dobrego łupu zauważył nieco później i inny kraj współdzielący Bałtyk z księstwem. Książę Łebek stwierdził, że nie lubi się dzielić. Ogłosił zatem obwieszczenie: „Ludu mojego księstwa, mieszkańcy Łeby, zwróciłem

uwagę iż nasz północny sąsiad Szwed zabrał się właśnie za okradanie naszego Bałtyku. Nie można przecie pozwolić, aby zabrał nam dużo tego bogactwa. Niech zgłoszą się więc do mnie chętni młodzieńcy, którzy wypłyną na wyprawę rybacką pod wodzą kapitana Dragosa. Ochotnicy w nagrodę dostaną dwie beczki ryb, jedną z łososiem tęczowym oraz kufer złota, a uczestnik szczególnie wyróżniony w łowieniu otrzyma ofertę starania się o rękę jednej z moich córek”. Wówczas mieszkał w miasteczku młody człowiek imieniem Wicek. Mieszkał w małym drewnianym domku z matką, ojcem i młodszą siostrą Zośką. A jego rodzina była biedna. I gdy książe wywiesił wezwanie, zapragnął wypłynąć, wrócić i ulżyć bliskim w biedocie. Nie miał żadnych szczególnych umiejętności po za tym, że był dobrym wojownikiem. A marzył o wyróżnieniu, gdyż podobała mu się jedna z córek Łebka, Jadzia. Kiedy nikt nie patrzył, spotykali się potajemnie. W obojgu wezbrało już wzajemne uczucie. Zgłosił się zatem z determinacją. Rano wczesnym świtem dziesiątki ochotników żegnały rodziny, przyjaciele, całe miasto. Wicek stał przy relingu i patrzył. Patrzył na stojącą w towarzystwie ojca i dwóch sióstr ukochaną. Mimo że ona była na drewnianym portowym podejściu w odległości kilku metrów od statku, a on na pokładzie i nie widział jej wyraźnie, widział szkliste niebieskie oczy, w których wzbierały łzy, smutne usta z lekko uniesionymi kącikami, gdy próbowała się uśmiechnąć. Unosiła smukłą rękę, w której jak reszta sióstr trzymała chusteczkę. Machała do rybaków, jak kazał jej ojciec, ale Wicek wiedział, że macha głównie do niego. On również uniósł dłoń i dołączył do lasu rąk towarzyszy wyprawy, którzy żegnali się z bliskimi. Otworzył usta i z odwagą zawołał:

- Nie martw się, Jadziu! Wrócę niedługo cały zdrów i ożenię się z tobą! - pokład poruszył się pod jego stopami. Po chwili okręt obrócił się z trzeszczeniem ku horyzontowi i odpłynęli. Pewnie was rozczaruję, ale wyprawa niestety nie zakończyła się szczęśliwym powrotem do domów. - Ale jak to!? - wykrzyknęła Amelka, najmłodsza członkini zastępu, po długim słuchaniu wszystkich w ciszy i skupieniu. Drgnęliśmy z zaskoczenia, a psodylek poderwał się, przerażony nagłym krzykiem. - Amelka! - zbeształyśmy ją naraz z Mają, mimo że tak jak ona byłyśmy ciekawe.

– Spokojnie dziewczyny, zaraz się dowiecie-zapewniła nas druhna. – No więc, jak mówiłam, wyprawa nie zakończyła się szczęśliwym powrotem do domów. Uczestnicy nie odpłynęli zbyt daleko, a natknęli się na szwedzki statek. Jego załoga była uzbrojona i zbliżała się ku nim z szaloną prędkością ani trochę nie zwalniając. Już miało dojść do zderzenia, kiedy nagle zawiąło mocno i zwiąło Szwedów na Ulinię, gdzie ich statek uderzył o skałę i w mgnieniu oka zatonął. Niedługo potem niebo nad całym morzem i przybrzeżnymi miastami zasnuły czarne złowrogie chmury, bardzo duże i gęste. Następnie zaczęło grzmieć i błyskać, później padać i wiać. Rozpętał się potężny trzydniowy huragan, który zniszczył budynki w księstwie, zniszczył przepiękny pałac księcia Łebka. Jakby niebo rozzłościło się na rybaków, jakby było przeciwne pojedynkowi na łowienie łososi tęczowych. Nikt nie przeżył. Tak mówiono... Nikt?

W pierwszy dzień sztormu szczęściarze, którym wałące się domostwa nie zmiażdżyły wozów i koni, odjechali w ucieczce w głąb kraju. Wśród nich znalazła się Jadzia i jej dwie siostry. Czwartego dnia po wyruszeniu rybaków na połów morze zaczęło się uspokajać. Fale z czasem zrobiły się mniejsze i zaczęły wyrzucać na brzeg tony piasku powstałego ze szczątków rybackiego okrętu, na którym płynął Wicek. Wśród tych małych kamyczków morze wyrzuciło także jego, wyczerpanego, ale, cudem, całego i zdrowego oraz innych marynarzy. Młodzieniec pozbierał się i obejrzawszy zgliszczą księstwa, poszedł. Odszedł w poszukiwaniu ukochanej, wciąż z nadzieją, że ją znajdzie, ponieważ nie widział jej ciała pod żadną z ruin. I słusznie. Znalazł ją. Po ucieczce przed burzą wraz z siostrami zaszyła się w okolicach obecnego Lęborka. Wicek przedstawił się ojcu Jadzi, który go bardzo polubił. Po dłuższym czasie wziął ślub z jego córką i osiedlił się niedaleko Łeby. Z biegiem lat budowali się wokół nich i inni ludzie, tworząc dużą i bogatą wioskę, w której życie płynęło miło i spokojnie, a od imienia pierwszego mieszkańca powstała nazwa „Wicko”. Do dziś istnieją gmina Wicko oraz wydmy utworzone z ton piasku wyrzuconych przez fale, zaś figury lepiące na plaży Łebskiej z piasku będącego resztkami rybackiego okrętu ożywają o zachodzie słońca i znikają pod wpływem morskiej wody. - zakończyła druhna. Psodylek wzniosł łebek w stronę księżycyca i zaczął wyć. Z jego zawodzenia dało się wyłapać tęsknotę.

– Chyba pamięta te wydarzenia - skwitowała jedna z dziewczyn. – A może był kiedyś jednym z rybaków... - dodała inna. Przez grupę przebiegł pomruk zgody. Nasz piaskowy stworek umilkł, spojrzał na nas po raz ostatni swoimi szmaragdowymi oczami i poczołgał się do morza. Gdy tylko dotknął wody, rozsypał się w tysiące maleńkich ziarenek piasku i tyle go widziałyśmy. Zauważyłyśmy potem, że i zamek zniknął, kiedy przytył podmył jedną jego ścianę. Następnego dnia, w miejscu, gdzie zniknął psodylek znalazłyśmy osiem małych kawałków morskiego szkła, idealnie dla każdej z nas. A później na horyzoncie pojawiły się deszczowe chmury, a minutę później zaczęło lać, więc musiałyśmy zmienić miejsce biwaku. Choć na jakiś czas...

Senny

13-15 lat

Godło: Gustaw

## O pannie, co spotkała stolema...

Przez piaszczysty gościniec ziemi lęborskiej sunęła kolaska zaprzężona w parę koni. Na koźle powoził niski czeladnik w filcowej magierce i beżowym płaszczu, a na wozie siedziała urodziwa, bogato ubrana kobieta. Za kolaską podążało dwóch jeźdźców. Jeden z nich, wysoki mężczyzna, był ubrany po dworsku, w szkarłatny, pikowany żupan. Jego towarzysz, chudzielec w szarej delii, nosił na piersi ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej z dzieciątkiem.

- Wiesz pan, panie Stanisławie, może to już czas dla pana? - zagadał do druha rycerz z ryngrafem.
- Co pan ma na myśli?
- Czas na ożenek, panie Stanisławie! Przecież jedziemy razem z panną Kazimierą, a rzecz to jasna, że panna się ku panu ma, a pan ku pannie. Toć może pan podjedzie i porozmawia nieco?
- Naprawdę? - Stanisław spojrzął na przyjaciela zaskoczonym wzrokiem.
- Naprawdę!
- Aż tak to widać?

- Ano, widać, panie Stanisławie - odrzekł chudzielec. - Tylko się spotkacie wzrokiem, to lica wam się robią niby różę!

- Nie wiedziałem... - Stanisław pogładził ręką czarnego, sumiastego wąsa. - Wiesz Janie? Pójdę i porozmawiam!

Rycerz wyprostował się w siodle, zrównał się koniem z kolaską, zdjął z głowy czapkę z bazancim piórem i spojrzął na kobietę na wozie. Panna Kazimiera Płotowska, dwórka na dworze pana wojewody malborskiego Jakuba Wejhera, była niewiastą dosyć wysoką, o pięknej figurze i o lśniących, jasnych, falowanych włosach. Gdy pan Stanisław zrównał się z wozem, podniosła na niego swoje ciemnobrązowe oczy. Rycerz otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć głosu. Po chwili jednak odchrząknął, zwięził koniu wodze i przemówił nieco łamliwym głosem:

- Waćpanna, panno Kazimiero, słyszałem nie tylko u naszego wojewody na dworze robi furorę.
- Łaskaw pan - dziewczyna przykryła oczy rękami. - Lecz czymże sobie zasłużyłam na takie mniemanie?
- Lepiej panna pyta, czym sobie panna nie zasłużyła! Primo: wenusowa panny uroda, sekundo: panny figura! Również jak u Juno albo Wenus! Tercjo: panny szaty. Ta suknia, co panna teraz nosi, pewnie nie z naszej Rzeczypospolitej?
- Zgadza się. Z Francji jest! Gdy byłam z panem wojewodą w Warszawie u króla, to obdarowała mnie nią sama królowa Maria Ludwika.
- Ach, tak! - uśmiechnął się Stanisław. - Mówiono w Malborku, że miłościwa królowa bardzo pannę polubiła... Zna panna podobno mowę galijską.
- Znam, panie Stanisławie - panna odwzajemniła uśmiech.
- I gawędziła panna z królową w jej ojczystym języku?
- Tak. Bardzo miła była miłościwa królowa... Marysia... to jest królowa, znaczy się. Mówiła, że bardzo za Galią tęskni i chciałaby, żeby tu u nas w Polsce było trochę bardziej jak tam. Dlatego też ubiera się z francuska i dwór prowadzi po parysku.
- Po parysku? - powtórzył Stanisław. - A czym się objawia takie prowadzenie?
- Cóż... Więcej królowa Maria kazała drukować niżli pisać, dlatego dwór nie potrzebuje już tak wielu sekretarzy, a także pozwala sobie na komentarze i sugestie, gdy król rozmawia z dostojnikami. Nie wiem dlaczego, ale żaden chyba pan na dworze za królową nie przepada...



\*\*\*

Wojewoda malborski Jakub Wejher siedział za dębowym biurkiem w jednej z komnat lęborskiego pokrzyżackiego zamku i bawiąc się pierścieniem, czytał list od starosty sztumskiego, pana Zygmunta Guldensterna. Lekturę przerwało mu pukanie do drzwi. Wojewoda podniósł wzrok, wsunął pierścień z powrotem na palec i powiedział donośnym, władczym głosem:

- Wejść!

Wszedł młody, może szesnastoletni chłopak w dworskim, czerwonym kubraku. Pacholek zamknął za sobą drzwi, lekko się skłonił i przemówił:

- Pan namiestnik Lipowski przybył, panie hrabio - wojewodo.

- Świetnie! - ucieszył się Wejher. - Kaz panu kuchmistrzowi wieczerzę gotować! Ja zaraz wyjdę panu namiestnikowi na spotkanie.

Chłopak przytaknął, jeszcze raz się skłonił i wyszedł. Wojewoda Wejher wstał zza biurka, zarzucił wiszącą na krześle delię obszytą niedźwiedzim futrem i opuścił pokój. Szybkim krokiem przeszedł przez korytarz, pozdrawiając po drodze mijanych dworzan, zszedł po schodach i wyszedł na dziedziniec. Na jego środku stała kolaska. Siedząca w niej kobieta zgrabnie zeskoczyła z wozu, ujmując przy tym dłoń stojącego obok mężczyzny.

- Witajcie, panie Lipowski! - zawołał wojewoda. - Dobrze, że jesteście, czekałem na was. Witaj, panno Kazimiero - Wejher schylił głowę i pocałował dziewczynę w rękę. - Jak minęła wam podróż?

- Dobrze - odpowiedziała panna Kazimiera. - Pan Lipowski zabawił mnie bardzo ciekawą konwersacją.

- Rozumiem - uśmiechnął się wojewoda. - Tak, wejdźmy zatem do zamku, już nakazałem szykować nam wieczerzę.

\*\*\*

Pan Wejher i jego goście usiedli w głównej, reprezentacyjnej sali zamku. Wojewoda na szczycie stołu, po jego prawicy Stanisław, Kazimiera i towarzysz namiestnika, pan Jan Jęrliczowski, a po lewej kilku dostojników z dworu. Po chwili pojawił się służący i nalał wszystkim wina. Następnie pojawiło się kolejnych kilku pacholek z miskami czerniny. Gdy pan wojewoda skończył zupę, nachylił się do Lipowskiego i powiedział:

- Dobrze, że jesteście, panie namiestniku. Kiedym słyszę, co się dzieje teraz na sejmie w Warszawie, to się włos na głowie mi jeży! Podobno pewnego dnia król musiał przyjąć aż cztery poselstwa! W jednym momencie w naszej Warszawie były posły z Moskwy, Ukrainy, Krymu i Wenecji! Coś się dzieje, panie namiestniku... Dlatego chcę mieć pana przy sobie, by móc szybko z rotą wyruszyć na wezwanie.

- Co pan przeczuwa, panie wojewodo? - zapytał Lipowski.

- Uderzy Kozak albo Moskal... Lub obaj naraz! Ugoda ze Zborowa jest nietrwała, panie namiestniku. Chmielnicki albo nas po lisiemu zwodzi, albo rzeczywiście wierzy, że zgoda między Koroną, a Kozakami może się utrzymać. Ale pewno już buduje sojusze i zbiera czerń, by ruszyć na nas. Car Moskwy z kolei cały czas uznaje postanowienia spod Polanowa, ale zaczyna próbować je obejść. Wysłał do Warszawy bardzo butnych posłów. Oskarżyli nas o to, że niepoprawnie tytułujemy cara, żądali spalenia ksiąg, w których opisuje się poprzednie wojny i domagali się nawet, żeby Jareme na śmierć skazać! Sytuacja jest napięta, mości namiestniku... Ale teraz cieszymy się pokojem, gdy jeszcze go mamy!

Wtedy pan Lipowski poczuł na sobie czyiś wzrok. Odwrócił się w stronę, którą podpowiedziała mu intuicja i spotkał się wzrokiem z ciemnobrązowymi oczami panny Kazimieri. Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, aż w końcu dziewczyna odchrząknęła głośno i powiedziała:

- Nałoży... Nałoży mi pan trochę ryby w śmietanie?

- Ależ tak, oczywiście - Stanisław zaśmiał się nerwowo i sięgnął po półmisek z łososiem w śmietanie. - Proszę bardzo - powiedział podając pannie talerz.

- Dziękuję.

- A powie mi może, panna... - zaczął po chwili Lipowski. - Pan Jan Krzysztof Płotowski to panny ojciec, zgadza się?
- Tak, zgadza się - Kazimiera pokiwała głową.
- Wojskowym on może nie był?
- Tak, był chorążym w chorągwi pancernych z województwa chełmińskiego.
- A pod Smoleńskiem w 1634 roku walczył?
- Walczył! Spotkał go pan?
- Spotkałem. Wielki wojak był z panny ojca! Człek był z niego charakterny i uczciwy zarazem... A jak na niego panny patrzyły!
- Naprawdę? - zaśmiała się Kazimiera.
- Oj tak. Był on przeto mężczyzną wielkiej urody... Tak jak panna, zresztą.
- Dziękuję panu - dziewczyna uśmiechnęła się zarumieniona.

\*\*\*

Lębork, 10 maja roku Pańskiego 1651

*Kochana Matko,  
piszę do Ciebie z prośbą i wesołą nowiną. Jak wiesz przebywam właśnie w mieście Lęborku wraz z dworem naszego pana wojewody. Namiestnikiem wojewódzkiej chorągwi husarskiej jest pan Stanisław Lipowski herbu Jastrzębiec. Towarzyszył mi on w podróży i od tygodni paru bardzo miło mi się z nim spaceruje i konwersuje. Jednak dziś, Matko najukochańsza, pan Stanisław mi się oświadczył!*

*Piszę do Ciebie, Matko, by prosić o Twoje błogosławieństwo, bowiem Tyś jest moja opiekunka i rodzicielka. Pan Stanisław jest doświadczonym żołnierzem i gdyby nasz ojciec kochany żył jeszcze, bardzo by go polubił. Spotkali się zresztą kilka lat temu na wojnie smoleńskiej. Lipowscy Jastrzębicowie są rodem starym, wywodzącym się z Wielkopolski. Mają majątki pod Roznowem, a podobno wraz z panem Stanisławem o mą rękę pyta prawie dwieście dusz chłopskich! Pan wojewoda też już dał nam błogosławieństwo. bowiem pan Stanisław to jest jego żołnierz najbardziej zaufany. Gdyby nie on, to by pan wojewoda dziś nie żył. Wojewoda opowiadał, że gdy w czasie wojny smoleńskiej on i jego chorągiew zorganizowali podjazd pod moskiewską twierdzę Białą, to pana Wejhera podczas potyczki wybuch miny przysypał. I gdy już po kilku godzinach pod ziemią pan wojewoda się z życiem zegnał, to wtedy znalazł go i odkopał właśnie mój pan Stanisław!*

*Widzisz zatem, kochana Matko, że rycerz prawdziwy i miły się o mą rękę stara. Proszę Cię tedy o matczyne błogosławieństwo naszej sprawy.*

*Z miłością, Kazimiera*

\*\*\*

Pan Miedzyński, posłaniec hetmana polnego Marcina Kazanowskiego wjechał na dziedziniec lęborskiego zamku w pełnym galopie. Szarpnął wodze konia i zatrzymał się na jego środku tuż przed rozmawiającymi ze sobą dwojgiem ludzi - piękną, młodą dziewczyną i wysokim mężczyzną o długich kruczoczarnych włosach i sumiastym wąsie.

- Jest pan wojewoda Wejher? - zapytał poseł.
  - Jest, w zamku pewno u siebie na kwaterze - odrzekł mężczyzna.
  - Dziękuję panu - Miedzyński zeskoczył z konia i pobiegł do zamku.
  - Myślisz, że co się dzieje, Stasiu? - Kazimiera odprowadziła go wzrokiem. - Wygląda na posła i pewno jakąś ważną wiadomość niesie.
  - Nie wiem... Ale mam złe przeczucia.
- Rozmawiali przed zamkiem jeszcze kilka minut, aż nagle wyszedł z niego wojewoda Wejher w towarzystwie posła hetmańskiego.
- Panie Lipowski! - zawołał wojewoda. - Szykuj się! Wojnę mamy! Jedziemy gromić lud ruski!
  - Słucham? - niemal krzyknął namiestnik. - Jak to wojna? Z kim? Dlaczego?

- Hetman Kazanowski wrócił z niewoli i wraz z królem, i Jaremą zbierają wojska, by ruszyć na Kozaków - wyjaśnił pan Miedzyński.

- Jeszcze dziś wyruszamy do Dzierzgonia - dopowiedział Wejher. - Tam spotkamy się z chorągwią i ruszamy... Gdzie ruszamy, panie Miedzyński?

- Pod Sokal.

- No, pod Sokal!

Stanisław poczuł na sobie wzrok swojej narzeczonej. Objął ją ramieniem i podążył spojrzeniem za idącym do stajni wojewodą. Pan Wejher najwyraźniej wyczuł wymowne spojrzenie swego żołnierza, bowiem zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

- Cóż to, panie Lipowski? - spytał. - Armia z całej Rzeczypospolitej się zbiera! Pod Sokalem już stoi hetman Kazanowski z dwunastoma tysiącami, Jarema już tam ciągnie, Radziwiłł nadchodzi, Sapieha! Nawet król już rusza!

- Nie pojedziesz prawda? - zapytała Kazimiera. - To przecież nie obowiązek? Możesz zostać. Prawda, Stasiu? Prawda?!

- Ależ obowiązek! - powiedział pan Miedzyński. - Powinność wobec Rzeczypospolitej! Jak mówi wasze husarskie motto, namiestniku: Amor patriae nostra lex! Trzeba się za tą miłość odwdziżyć!

- Stasiu, nie pojedziesz, prawda? - nie ustawała panna.

Lipowski zamyślił się na chwilę. Nie słyszał ani powtarzających się pytań Kazimieri, ani kontynuacji wywodu Miedzyńskiego. Aż w końcu westchnął głęboko i rzekł:

- Pojadę... Służba wszak - rzecz święta! Czekajcie na mnie, panie wojewodo.

Stanisław ruszył w stronę stajni. Nagle poczuł jak ukochana chwytła go za rękę. Zatrzymał się.

- Nie jedź, proszę - powiedziała.

- Muszę... - Stanisław uśmiechnął się łagodnie. - Moi przyjaciele i bracia będą tam walczyć. I umierać, nadstawiać swoje życie, muszę być tam z nimi. Nie martw się, Kazia. Wróć jak najszybciej będę mógł.

\*\*\*

Jan Jerliczowski, żołnierz - zagończyk pana wojewody Wejhera i serdeczny przyjaciel Stanisława Lipowskiego wziął łyk wina z cynowego kubka i syknął z bólu. Potarł ręką krwawą ranę kilka cali od lewej skroni.

- Cholera - powiedział. - Ładnie mnie ten mołojec łupnął obuszkiem. Na szczęście Najświętsza Paniątka miała mnie w swojej opiece.

- Janie, powiedz, kiedy dostałeś abszty od wojewody? - Kazimiera nerwowo ścisnęła w rękę swoją łosiową rękawiczkę.

- Piątego czerwca, mówiłem już pannie. Podczas podjazdu spotkaliśmy w wiosce oddział Kozaków i wtedy jeden mnie machnął w czerep!

- Dobrze, dobrze... A co ze Stasiem?

- Pan Stanisław? - powtórzył Jerliczowski. - Wszystko dobrze. Poprowadził kilka rajdów, a tak to tylko siedzi w obozie i się bawi z bratkami żołnierskimi. Ale już nie na długo.

- Jak to? Janie, co to znaczy? - dziewczyna nachyliła się w jego stronę.

- Szykuje się wielka bitwa. W dzień, kiedy pan wojewoda mnie odesłał, król w porozumieniu z regimentarzami i księciem Jaremą zarządzili wymarsz pod Beresteczko. Tam mieli zagrodzić drogę Chmielnickiemu i Tatarom.

- Będzie bitwa, Janie?

- Na pewno będzie. Ani król, ani Chmielnicki się nie ugną. Ale ciężki to bój będzie... Wielką armię zebrali Kozacy.

- Ilu ich jest? Jak wielką armię?

- Panna się nieco uspokoi! - powiedział Jerliczowski. - Cóż to panna taka spięta? Kazimiera otworzyła usta i gotowa była krzyknąć na towarzysza narzeczonego, ale po chwili się opanowała i westchnęła głęboko.

- Przepraszam, Janie... Po prostu martwię się o Stanisława.

- Rozumiem - zagończyk pokiwał głową.
- To powiedz, Janie, ilu Chmielnicki prowadzi pod Beresteczko?
- Jakieś... To będzie... Sto trzydzieści tysięcy.
- Ile? - krzyknęła Kazimiera. - A naszych ile?
- Siedemdziesiąt tysięcy.
- Boże Świąty - dziewczyna odchyliła się na krześle. - Dwa razy mniej...
- Ależ nie aż tyle...
- Dwa razy mniej! Matko Najświętsza!

Kazimiera nagle zerwała się z krzesła, porwała leżący na stole różaniec, w biegu chwyciła z wieszaka swoją futrzaną czapkę z piórem łabędzia i wybiegła z pokoju. Szybkim krokiem zeszła po schodach i wyszła na dziedziniec zamku. Bliska płaczu udała się na most na rzece Łebie. Chciała biec dalej, ale rozpacz już tak ją ogarnęła, że zatrzymała się i oparła o balustradę mostu. Ścisnęła w rękę różaniec i zaczęła szeptać „Ave Maria”. Po chwili zerwał się wiatr. Panna modliła się dalej. Nagle usłyszała za sobą ciężkie kroki. Odwróciła się. Za nią stał wielki na dobre piętnaście stóp olbrzym. Ubrany był w coś na kształt kowalskiego fartucha, a większość twarzy zasłaniała mu bujna broda, z której - wydawało się - w niektórych miejscach wyrastał mech. Kazimiera cofnęła się o krok. Pierwszy raz widziała tak niesamowitą istotę.

- Nie bój się, panienko - przemówił olbrzym niespodziewanie łagodnym głosem. - Jestem stolemem.

Zadziwiona Kazimiera nic nie odpowiedziała.

- Twój szloch i modlitwa przebudziły mnie właśnie ze snu. Spałem pod tym mostem - kontynuował stolem. - Który mamy rok?

- Tysiąc... Tysiąc sześćset pięćdziesiąty pierwszy.

- O! Prawie idealnie! - ucieszył się olbrzym. - Chciałem obudzić się w tysiąc sześćset siedemdziesiątym, ale kilka lat nie robi mi różnicy. Lecz dlaczego tak szlochasz, panienko? Kazimiera już uspokoiła się nieco. Odetchnęła kilka razy i ścisnęła różaniec jeszcze mocniej.

- Mój narzeczonny... - powiedziała po chwili. - Jest na wojnie... Jest na wojnie i szykuje się wielka bitwa, którą może przegrać.

- Och, rozumiem - stolem pogłodził się po brodzie. - Trudna sprawa... Ale chyba wiem, jak temu zaradzić. Ponieważ obudziłaś mnie ze snu prawie w czas, to muszę ci jakoś podziękować, nie sądzisz, panienko? - Kazimiera powoli kiwnęła głową. - No właśnie! Dlatego ja stolem, tu i teraz, w mieście Lęborku nad rzeką Łebą w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym pierwszym, obiecuję ci, że armia, w której służy twój ukochany wygra wielką bitwę! I on wróci do ciebie.

- Naprawdę? - Kazimiera ożywiła się i spojrzała na stolema z nadzieją w oczach. - Jak to zrobisz?

- Nie mogę ci powiedzieć, panienko - olbrzym uśmiechnął się łagodnie. - To wiedza nie dla ludzkich uszu...

\*\*\*

Posel wojewody Jakuba Wejhera, pan Gołębski jechał galopem przez miasto Lębork. Jego biały koń czystej rasy polskiej dyszał ciężko i cały był w pianie. Goniec wjechał na dziedziniec lęborskiego zamku, szarpnął końskie wodze, zeskoczył z siodła i popędził do środka. Szybko wbiegł po schodach i bez pukania wpadł do jednej z komnat.

- Bracia! Panowie! Panno Kazimiero! Zwycięstwo!

## II miejsce

## Maja Tutakowska

Godło: Bogna 14

### **Legenda o Ignacku i Bognie, co czarta przepędzili**

W malowniczym Lęborku, w którym nie brakuje lasów i zieleni, znajduje się najbardziej charakterystyczne wzniesienie - Wzgórze Czartoryja. Widać je już z daleka a na jego szczycie znajduje się Wieża Ciśnień.

Tak jest obecnie, jednak w dawnych czasach, kiedy miasto było niewielką osadą - na wzgórzu znajdował się dwór władcy Dobrosława, dolinę zaś zamieszkiwali jego podwładni. Mieszkańcom dobrze się wiodło. Dobrosław był mądrym i sprawiedliwym władcą. Dobrze traktował swoich podwładnych i sprawiedliwie rządził podległą mu krainą. Mieszkańcy byli dla siebie mili i uczynni. Kowal podkuwał konie, kołodziej wyrabiał części do wozów, w osadzie był też rymarz, bednarz, garncarz – jednym słowem mieszkańcy świadczyli sobie wzajemne usługi. Żyło im się dobrze i dostatnio.

Dobrosław miał córkę – Bognę. Była to bardzo miła i sympatyczna dziewczynka, której minęło właśnie dwanaście wiosen. Przyjaźniła się z synem kowala – Ignacym. Dzieci spędzały ze sobą każdą wolną chwilę. Znały wzgórze jak własną kieszeń. Nieraz przemierzały jego dzikie zakątki wśród drzew i krzewów. Obserwowały leśne zwierzęta – ptaki, sarny, zające czy dziki. Latem częstowały się tym, co daje ludziom leśna przyroda. Jadły maliny, jagody i jeżyny. Teraz, kiedy zrobiło się już chłodniej, bo nastąpiła jesień, las oferował im mnóstwo grzybów. Ignacy był mistrzem w ich zbieraniu. Jego mama nie nadążała ich suszyć. Bogna natomiast kochała zwierzęta. Podczas jej leśnych wędrówek, zawsze towarzyszyły jej dwa wierne psy.

Jednak latem, zawsze dzień po pełni księżyca, w osadzie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. A to w zagrodach zaczęło ubywać owiec i kur, zaczęły znikać drobne przedmioty codziennego użytku a to gliniane naczynia, skórzane kapoty a nawet wełniane skarpety. Z chaty zielarki zginął cały zapas ziół... Mieszkańcom, którzy na to wszystko ciężko pracowali, wcale do śmiechu nie było. Sąsiedzi zaczęli się wzajemnie obwiniać i wzajemnie siebie podejrzewać. Pewnej niedzieli Ignacek wybrał się na wzgórze, żeby spotkać się z Bogną. Mieli pobawić się na wzgórzu i przy okazji zanieść trochę siana oswojonemu stadku saren. Gdy dotarł na górę, zobaczył siedzącą na kamiennych schodach zapłakaną i przestraszoną towarzyszkę.

- Co się stało? Dlaczego płaczesz? – zapytał chłopiec.

- Zobaczyłam coś strasznego – wyjąkała dziewczynka. – Wczoraj wieczorem, kiedy zesłam na chwilę po nasze kasztanowe ludziki, zobaczyłam jak po schodach przemyka jakaś dziwna postać. Była rozmiaru człowieka, zamiast nóg miała jakby włochate nogi... albo kopyta... No i straszliwe rogi... Opowiedziałam wszystko moim rodzicom, ale mi nie uwierzyli.

I powiedzieli, że jak będę opowiadać takie rzeczy, to zabronią mi zabawy z tobą.

- Sam nie wiem czy w to wierzyć, jesteś pewna, że nic ci się nie przywidziało? Może to była jakaś zbłąkana sarna, albo dzik... – odparł Ignacy.

- Jestem pewna, że to nie było żadne zwierzę. Wczoraj była pełnia księżyca i wszystko dobrze widziałam. A i na plecach dźwigała wielki wór... – dodała przestraszona dziewczynka.

Dzieci postanowiły udać się na nieco dłuższy spacer i poszukać na wzgórzu miejsc, w których mógłby się ukryć ktoś wielkości człowieka. Chciały zabrać ze sobą psy, ale te wolały spać i wygrzewać się w ostatnich promieniach jesiennego słońca. W ostatnich dniach w ogóle były jakieś dziwnie ospałe... Bogna i Ignacy obeszlą całą górę i nie znaleźli nic, co mogłoby wskazywać na to, że ktoś obcy się tu kręcił. Kiedy byli już niedaleko dworu, na skraju góry zauważyli sporej wielkości otwór w ziemi przykryty gałęziami. Była to stara, nieużywana już spiżarnia, zbudowana z małych głazów pokrytych mchem i wilgocią. Dzieci bardzo się bały, jednak ciekawość zwyciężyła i postanowiły, że na chwilę wejdą do środka. We wnętrzu zobaczyły resztki jedzenia, gliniane naczynia, skórzane ubrania i... wełniane skarpety. Jednym słowem wszystko to, co ostatnimi czasy zaczęło w tajemniczy sposób znikać z zagród i domostw. Nie znalazły jednak nikogo, kto mógłby zamieszkiwać to miejsce. Szybko je opuściły i wróciły do dworu.

- Jeżeli ten tajemniczy przybysz wygląda tak, jak go opisałaś to zdaje się, że to zły czart okrada z dobytku nas i naszych mieszkańców. Słyszałem jak dziś sąsiad opowiadał, że u rymarza Jędrzeja w nocy znowu ktoś był. Brakuje dwóch kur, koguta i jednej owcy – dodał Ignacy.

Dzieci postanowiły, że przy następnej pełni ukryją się przy schodach prowadzących do osady i kto wie, może uda im się zobaczyć czarta. Cztery tygodnie później cierpliwie czekały w bezpiecznym miejscu. Kiedy znużone czekaniem prawie zasypiały, nagle usłyszały cichutki szelest. W blasku miesiąca zobaczyły jak schodami przemyka czerwona postać z kozimi rogami, ogonem i... grubymi skarpetami z owczej wełny na nogach. Dzieciom zaparło dech w piersiach, bo czart zatrzymał się na chwilę jakby przeczuwał czyjąś obecność. Rozejrzał się na boki, wciągnął nozdrzami powietrze i po chwili ruszył bezszelestnie w dół schodami.

- Teraz wiem dlaczego czart porusza się tak cicho... widziałaś co miał na nogach? Skarpety z owczej wełny... Przy następnej pełni będziemy musieli znaleźć sposób, aby go stąd wykurzyć – powiedział Ignacy – I mam na to pewien pomysł!

Tej nocy łupem nocnego złodziejaska stały się tylko gliniane garnki i pozostawiony na jednym z podwórek bochenek suchego chleba... Mieszkańcy zauważyli, że kradzieże powtarzają się podczas pełni księżyca i byli tej nocy wyjątkowo czujni.

Przez kilka następnych dni Ignacy często odwiedzał kuźnię swojego ojca. Za każdym razem udało mu się zebrać trochę skrawków żelaza potrzebnych mu do planu. Gdy nazbierał ich wystarczająco dużo, odwiedził Bognę. Dzieci zaczęły realizować swoje tajemnicze przedsięwzięcie. Dzień przed pełnią, udały się do kryjówki czarta i za pomocą igły oraz grubej

nici przyszyły kawałki żelaza do skarpet. Pilnowały też psów, aby te nie oddalały się od nich, bo podejrzewały, że czart mieli skradzione zielarce zioła i rozsypuje je wokół kryjówki, aby psy nie wyczuły go w pobliżu. Pozostało tylko czekać na niemile widzianego gościa.

Nadszedł wieczór, kiedy księżyc znowu był w pełni. Dzieci ponownie ukryły się w zaroślach. Późnym wieczorem ujrzały nagle czarta w wełnianych skarpetach. Nie wiedział, że za chwilę wpadnie w pułapkę Ignacego i Bogny. Diabeł zaczął zbiegać po stromych schodach prowadzących prosto do osady. Kiedy tylko zrobił pierwszy krok na kamiennych schodach, rozległ się głośny, żelazny dźwięk jego własnych kroków. Im szybciej biegł, tym dźwięk metalu uderzającego o schody był większy. W pogoń za intruzem ruszyły też psy Bogny, które tym razem nie straciły czujności. Hałas obudził mieszkańców. Dzielne psy pogoniły intruza, tam gdzie pieprz rośnie. Tak oto Ignacy oraz Bogna ocalili lęborską osadę, a na pamiątkę tego wydarzenia wzniesienie zostało nazwane Wzgórzem Czartoryja.

Choć wydarzenia te miały miejsce wieki temu, legenda głosi, że podobno każdej jesieni podczas pełni księżyca, przy schodach prowadzących obecnie na Wieżę Ciśnień niesie się delikatny stukot żelaza. Kto wie, może i komuś z was uda się go kiedyś usłyszeć...

13-15 lat

GODŁO : SOSNY

## LEGENDA O ŁEBIEDUCHU

W dawnych czasach, gdy lasy były gęste, a jeziora pełne życia, powstała legenda o Łebieduchu - opiekunie nadmorskiej przyrody, strzegącym naturalnego skarbu w tych rejonach. Mówiono, że Łeba to istota, która wzięła na siebie rolę obrońcy lasów i wód.

Według opowieści Łeba był więc dawnym strażnikiem leśnych i jeziornych skarbów, który ukrywając się w ich bogactwie, zwykle mocował się z wiatrami, by te nie narobiły zbyt wielu szkód. Jego obecność była słyszalna jedynie w szumie liści i szemraniu wody. Mieszkańcy wierzyli, że Łeba potrafi zrozumieć język roślin i zwierząt, a jego troska obejmowała każdy kawałek natury.

Legenda głosi, że Łeba nagradzał tych, którzy szanowali przyrodę, obdarzając ich bogactwem z lasu i obfitością ryb z jeziora. Jednakże Ci, którzy lekceważyli dar natury i wyrządzali jej krzywdę, musieli liczyć się z gniewem Łeby.

Mieszkańcy, zanim wyruszali na polowanie czy połów ryb, składali w pobliskich lasach hołd Łebie, prosząc o błogosławieństwo w wyprawie.

Pewnego dnia ludzie złamali zasady poprzez nadmierne wylawianie ryb z jeziora, których potem nie potrafili wykorzystać dla dobra wspólnego. Rozgniewało to Łebieducha, który nie mógł znieść zachłanności i marnotrawstwa okolicznej ludności. Gdy ta wyrzuciła do lasu stęchłe ryby, bo nie zdołano ich na czas uwęździć, rozgniewany takim postępowaniem z darami jeziora Łebaduch przemienił niegodziwych ludzi w powykrzywiane sosny, skazując tym samym na wieczne życie w lesie, by służyły jako pomnik przestrogi dla potomnych.

Drzewa, które według legendy, były kiedyś okolicznymi mieszkańcami, stały się teraz dla ludzi przypomnieniem o mocy tutejszej natury, a cała legenda lekcją o potrzebie mądrego korzystania z otaczającego nas świata.



13-15

Godło: **Jakub****Tajemnicze spotkanie**

Dawno, dawno temu, w małym miasteczku Lębork, żył biedny chłopiec o imieniu Jakub. Był sierotą, którym opiekował się miejscowy proboszcz. Mały chłopiec marzył o tym, by zostać pielgrzymem i odwiedzić grób swojego imiennika, Świętego Jakuba w Santiago de Compostela. Jednak nie miał na to pieniędzy ani możliwości.

Pewnego dnia, gdy Jakub pomagał proboszczowi w kościele, zobaczył, że do miasteczka przybył bogaty kupiec z dalekich stron. Przywiózł dużo rozmaitych towarów, materiałów, garnków a przede wszystkim rozmaite specjalne lecznicze. Rozstawił stragany na rynku i cały dzień sprzedawał przywiezione towary. Kuba pomyślał, że gdyby miał choć trochę z tego bogactwa, mógłby spełnić swoje marzenia. Począł, aż targowanie dobiegło końca i kupiec uda się na odpoczynek. Postanowił więc dyskretnie podążyć za kupcem i spróbować coś mu ukraść.

Wkrótce zorientował się, że kupiec opuszcza mury miasta i jedzie w kierunku pobliskiego lasu. Podążył za nim aż do lasu, gdzie ten zatrzymał się na odpoczynek. Podkraść się do niego i chwycił worek z złotem. Jednak kupiec zauważył go i zaczął krzyczeć. Jakub rzucił się do ucieczki, kierując się do lasu. Myślał, że zdąży bezpiecznie umknąć ze zdobyczą, ale nie zauważył, że w lesie czaił się wilk. Już miał wbiec prosto w paszczę wilka, gdy w ostatniej chwili, usłyszał głos:

- Zatrzymaj się, nie uciekaj do lasu! – rozległo się wołanie.

Chłopiec stanął jak wryty, pilnie się rozejrzał wokół.

- Kim jesteś i czego ode mnie chcesz? – wykrzyczał butnie.

- To ja – święty Jakub, to do mnie wszak chciałeś wędrować. Ta kradzież brudzi twoje serce i nie pomoże w spełnieniu marzenia – dodał spokojnie święty.

Jakub zamarł w bezruchu, tak się przestraszył, że ktoś zna jego myśli.

- Nie bój się, jeszcze nie jest za późno, by naprawić błędy. Wysłuchaj mnie uważnie.

Jeśli natychmiast oddasz to, coś ukradł, nie spotka cię kara.

Ledwo ostatnie słowa wybrzmiały, tajemnicza postać zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Chłopak zrobił tak, jak mu kazano. Wrócił do kupca i oddał skradzione złoto, a ten, mocno zaskoczony i wzruszony, wysłuchał tłumaczenia chłopca i na dodatek dał mu trochę złota na podróż. Zdumienie i radość chłopca było przeogromne.

Wziął złoto i nie czekając ani chwili, wyruszył w podróż do Santiago de Compostela. Wówczas Święty Jakub odezwał się do chłopca ponownie:

- Spełniłeś swoje marzenie. Dotarłeś na miejsce. Co zrobisz z otrzymanym darem? – zapytał.

- Chyba już wiem, co mam uczynić – odparł.

I tak jak poprzednio postać świętego rozplynęła się we mgle, jednak tym razem wzbudziła radość w sercu naszego wędrowca.

Wówczas przypomniało mu się małe miasteczko Lębork i postanowił wrócić. Po kilkunastu latach trudnej pracy, Jakub z pomocą kilkunastu innych ochotników, dał radę wybudować kościół dla świętego Jakuba.

Takim to sposobem powstał kościół św. Jakuba w Lęborku.

III miejsce

Natalia Rzepka

## STARE MURY

W Lęborku (miejscowości położonej w województwie pomorskim) mieszka pewna dziewczyna. Nazywa się Magda i mieszka w dużym pałacu wraz ze swoją rodziną (tatą Markiem, mamą Zofią oraz bratem Krzysztofem). Madzia jest nastolatką, która lubi podróżować oraz poznawać nowych przyjaciół. Dziewczyna od zawsze dostawała to czego chciała, miała najlepsze zabawki, markowe ciuchy, chwaliła się tym i dokuczała osobom, które nie miały szans oraz środków na takie rzeczy. W szkole należała do grupy osób, które są najbardziej lubiane. Przez ich grupę Magda nie śpi po nocach, nie chodzi na lekcje, przez co pogorszyły jej się oceny oraz zmieniło jej się zachowanie. Stała się odważna, niezależna oraz stanowcza. Dziewczyna jeszcze nie wie że potem te cechy i zachowanie zmienią jej życie... Jej najlepsza przyjaciółka Ania mieszka blisko niej, dlatego dziewczyny nie mają problemu aby się razem spotykać. Znają się od dziecka i chodzą razem do tej samej klasy.

Raz Magda wymknęła się z domu aby zobaczyć się z przyjaciółką, mimo że dostała karę od rodziców za złe zachowanie. Dziewczyna często nie słucha się rodziców, przez co nie mogą się porozumieć.

Pewnego dnia, gdy Magda jak co dzień szła do szkoły, zobaczyła pewien mur, nigdy nie zwracała uwagi na rzeczy otaczające ją, więc sama była zdziwiona że robi taką rzecz. Zatrzymała się przed wielkim murem i wyszukała w Internecie ciekawe informacje na temat tej budowli.

Były to stare mury obronne w Lęborku. Zostały postawione w XIV wieku przez Krzyżaków. Wznosiły się na wysokość 6 metrów, a ich całkowita długość wynosiła 1 220 metrów. Spędziła na czytaniu o tej

budowli 20 minut, spóźniona już na lekcje szła szybko do szkoły. Po drodze spotkała swojego kolegę z klasy Maćka. Był niegrzecznym chłopcem. Opuszczał lekcje i miał słabe oceny. Chłopak namówił Magdę do wspólnej ucieczki z 1 lekcji. Dziewczyna nie przejmowała się konsekwencjami, lecz myślała o plusach tej ucieczki. Chciała być taka jak chce, i spełniać marzenia, które według niej niszczyli jej rodzice. Dlatego nie słucha się rodziców i robi to co zechce. Podczas spotkania z Maćkiem poszli do parku obok jego domu. Po chwili przyszli jeszcze do nich Ania i Kacper. Zbliżał się koniec 1 lekcji lecz przyjaciółom nie spieszyło się iść na lekcje. Dobrze się razem bawili. 2 godziny później Magda zorientowała się że dzwonił jej telefon. *10 Nieodebranych połączeń od mamy*

Dziewczyna nie zwracała uwagi na telefony od mamy. Wiedziała że zrobi aferę i będzie kazała wracać jej do domu. Nie chciała tego, więc ją ignorowała.

Wieczorem, gdy wróciła do domu rodzice Magdy byli na nią bardzo wściekli. Nie mieli pomysłu na to, co zrobić aby ich córka się lepiej zachowywała. Nie mieli siły i nie chcieli już pouczać Magdy o jej zachowaniu, więc dali jej karę na wychodzenie z domu przez tydzień oraz na spotkanie się z przyjaciółmi. Dziewczyna się strasznie załamana. Była tak zła na swoich rodziców, że już była gotowa uciec z domu, lecz wiedziała z tyłu głowy, że by tego nie wytrzymała.

Rodzice Magdy wymyślili sposób jak zmienić jej zachowanie. Podczas gdy była w domu, zaprosili do ich domu dziewczynę. Miała na imię Ola i bardzo dobrze się uczyła, była grzeczna i uprzejma. Miała pomóc Magdzie w nauce i przynosić jej lekcje. Gdy dziewczyna się o tym dowiedziała, nie ucieszyła się. Była do niej negatywnie nastawiona. Chciała aby nikt się o tym nie dowiedział, ponieważ myślała że każdy ją wyśmiej. Nie chciała też, aby obca dziewczyna przebywała u niej w pokoju. Gdy już do niej przyszła, wrednie się na

nią patrzyła i nie odpowiadała na jej pytania. W końcu Ola nie wytrzymała, dała jej tylko zeszyty i wyszła z domu.

Magda przez kolejne dni przebywania w domu nie miała co robić, rodzice zabrali jej telefon, ponieważ chciała wyjść z domu. Bez telefonu dziewczyna nie wiedziała co ma ze sobą zrobić. Próbowwała się uczyć, malować, ale nic jej nie wychodziło. Chciała chociaż na chwilę wyjść z domu. Postanowiła poprosić rodziców, aby mogła pójść na krótki spacer. Jej rodzice nie chcieli się zgodzić, ponieważ myśleli, że ich córka od nich ucieknie. Po długiej rozmowie, zgodzili się, aby Magda poszła na krótki spacer. Jedynym warunkiem tej przystugi było to, że jak nie wróci w przeciągu trzydziestu minut do domu, nie wpuszczą jej do domu. Dziewczyna nie miała wyboru, musiała wrócić do domu. Nie było to w jej planach, ale wyjście z domu było dla niej lepsze niż siedzenie w nim. Poszła na spacer w stronę swojej szkoły. Znowu minęła stare mury. Podczas poprzedniego przejścia Magda nie czuła od niego energii. Tym razem gdy stała obok muru, czuła energię muru, który chce aby do niego weszła.

Jej zmysły jej nie zawodziły, energia murów przyciągała ją do siebie i pragnęła, aby dziewczyna przeszła przez bramę murów. Działo się to nie bez powodu. Mury miały na celu zmienienie zachowania dzieci, które wyśmiewają osoby słabsze. W tym wypadku wybrali Magdę. Robiły to w ten sposób, że brały ciała obu dziewczyn i zamieniały je ze sobą. Da się to odwrócić tylko w jeden sposób. Należy zrozumieć i zaakceptować sytuację każdego człowieka. Niektórzy mogą pozwolić na niektóre rzeczy, niektórzy nie.

Gdy Magda przeszła przez bramę muru nic nie poczuła, lecz jej ciało się bardzo zmieniło. Nie zauważyła tej zmiany, szła do domu tak jak obiecywała rodzicom. Gdy weszła do domu jej mama bardzo się wystraszyła.

- Kim jesteś i co robisz w moim domu? - zapytała mama dziewczyny

- Przecież to ja, twoja córka, Magda - odpowiedziała.

- No to się myślisz, tak nie wygląda moja córka.

Magda spojrzała w lustro i nie wierzyła własnym oczom.

- Mamo! Co się ze mną stało! Czemu tak okropnie wyglądam?

- Muszę cię przeprosić dziecko. Nie jesteś moją córką, musisz opuścić ten dom.

- Ale to naprawdę ja. Nie wiem co się stało, poszłam tylko na spacer.

Dziewczyna z płaczem opuściła dom, ponieważ wiedziała że jej mama nie uwierzy że to ona. Nie wiedziała gdzie iść, nie miała do kogo, każdy by jej nie rozpoznał. Postanowiła więc spróbować. Najlepszym według niej pomysłem było pójście do jej najlepszej przyjaciółki Ani. Jej przyjaciółka też jej nie uwierzyła. Wiedziała że Magda ma karę i nie może wychodzić z domu, poza tym nie wygląda jak ona.

Dziewczyna strasznie się załamała, szła bez celu, chciała odkryć dlaczego wygląda inaczej niż wcześniej. Nie wiedziała jak się za to zabrać. W pewnym momencie wpadła to pomysł. Na spacerze była tylko obok murów. Pomyślała, że to one były powodem tej sytuacji. Znowu przeszła przez bramę murów, lecz nic się nie zmieniło, dalej była tamtą dziewczyną. Szukała jakiejś wskazówki, cokolwiek co może ją doprowadzić do sedna zagadki. Jej działania poszły na marne, straciła tylko czas.

Zbliżał się wieczór i robiło się zimno. Magda weszła do najbliższego sklepu i czekała tam do zamknięcia sklepu. Lecz nagle...

- Patrycja! Co ty tu robisz? Tyle czasu cię szukaliśmy - zawołał ktoś ze sklepu.

Dziewczyna zrozumiała, że te słowa były kierowane do niej. Myślała, że to rodzice, dziewczyny w którą się zamieniła. Chciała być

w miejscu bezpieczniejszym od zimnego dworu. Postanowiła improwizować.

- Hej mamó. Jak dobrze cię widzieć - przestraszona podbiegła do kobiety.

- Nie mogliśmy cię znaleźć. Chodź, idziemy do domu.

Magda strasznie się bała. Nie знаła tych ludzi. Bała się że mogą coś jej zrobić. Dom, do którego poszła, był dla niej obcy. Nie wiedziała, gdzie jest „jej” pokój. Ponadto musiała udawać dziewczynę, której nawet nie znała. W nocy nie mogła zasnąć. Teraz nie miała takich samych warunków jak u siebie. Pierwszy raz zderzyła się z taką sytuacją.

Rano, obudziła ją „mama”. Magda zapomniała, że nie ma już kary i musi chodzić do szkoły. Ubrała się w ciuchy, które kompletnie się jej nie podobały. Na dodatek nie miała co zjeść na śniadanie, ponieważ lodówka była pusta.

W szkole gdy czekała przed salą nie wiedziała z kim przyjaźniła się dziewczyna w którą się zamieniła. Nie mogła pójść do swoich przyjaciół ponieważ wyglądała inaczej. Na lekcjach bardzo jej się nudziło. Nie miała z kim rozmawiać. Tak minął jej cały w szkole. Po całym dniu uświadomiła sobie jak żyją dzieci biedniejsze. Dalej nich nie lubiła, ale doświadczyła tego i wie że nie jest łatwo.

Po lekcjach szła do domu w którym wtedy mieszkała. Magda zatrzymała się i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zobaczyła siebie! Od razu podbiegła do Patrycji, która się w nią zamieniła. Dowiedziała się, że dziewczyna nie znalazła domu, w którym mieszkała Magda. Spała na dworze, w bezpiecznym miejscu. Magda bardzo współczuła dziewczynie. Postanowiła pójść z nią do domu. Miło spędzało im się czas razem, nie zorientowały się nawet, że jest

ciemno na dworze. Patrycja spędziła noc razem z Magdą. Całą noc rozmawiały o ich przygodach.

Następnego dnia gdy Magda się obudziła, Patrycji już nie było, musiała wcześniej wyjść. Magda przemyślała sobie wszystko. Patrycja była wspaniałą osobą, i nigdy by nie pomyślała że pochodzi z biedniejszej rodziny. Kompletnie inaczej zaczęła patrzeć na świat. Zrozumiała, że nie trzeba patrzeć na wygląd danej osoby lub na jej warunki finansowe, tylko na charakterze tych osób.

W szkole była tak zmęczona, że zasnęła na ławce. Obudziła się już w swoim prawidłowym ciele.

13-15

godło – Żabki;

## „Opowieść o Lęborskich żabkach”

Setki lat temu, w Błękitnej Krainie, wznosił się zamek, który był siedzibą księcia o imieniu Władysław. Był to mężczyzna o zadziwiająco przystojnej twarzy, a jego brązowe włosy stanowiły koronę godną władcy. Młody książę emanował pewnością siebie, jednakże w jego sercu tkwiły cienie pychy i kaprysów. Władca ten, wymagający i nieugięty, traktował swoich poddanych jak pionki na szachownicy, nie okazując im ani krztu szacunku. Wieści o jego okrutnych rządach przyniosły mu złą sławę oraz rozchodziły się szybciej niż wiatr. Co roku książę Władysław ogłaszał swój kolejny związek małżeński, porzucając pierwej poprzednią wybrankę. Wydawał rozkaz, aby poprzednia księżna została wtrącona do rwącej rzeki zwanej Łeba. Wielu mieszkańcom Błękitnej Krainy ta zbrodnia księcia Władysława nie pozostała obojętna. Roztrzęsione serca rodzin zmarłych kobiet płonęły gniewem i żalem, a ich rozpacz przemieniła się w palącą chęć zemsty. Zawiązali oni spisek, łącząc siły z innymi oburzonymi mieszkańcami, gotowymi sprzeciwić się okrutnemu panowaniu księcia.

W siódmym roku panowania księcia Władysława, w najgłębszym zakątku jego serca, rozkwitła miłość. Przystojny władca, który dotychczas mocno trzymał w swoich rękach losy swych poddanych, znalazł kolejną ukochaną, Annę. Panna ta była wcieleniem piękności, o skromnym pochodzeniu. Emanowała naturalnym wdziękiem i urokiem, których nawet najszlachetniejsze damy mogłyby jej pozazdrościć. Książę Władysław nie ociągał się ani chwili dłużej. Odważnie zwrócił się do zielarza Ignacego, ojca Anny, z prośbą o rękę jego ukochanej córki.

Starzec, przyjął propozycję, lecz pod jednym warunkiem. Rzekł: "Jeśli tylko jeden włoszek spadnie z głowy mej córki, spotka cię kara. Twe nędzne życie dobiegnie końca, twoje ciało powoli zamieni się w posąg, a jeno muchy twoim pożywieniem będą."

Książę jednak bez wahania przyjął warunek Zielarza, potrząsając jego rękę na znak zgody. Życie rozkwitło dla młodej pary. Jednak nietrwale to było szczęście. Władysław, przepelniony zakłamaniami, udawał kochającego i opiekuńczego męża, zasłaniając swą okrutną duszę przed światem. Szczodrze obdarzał Annę drogimi prezentami, ale to nie przynosiło jej żadnej satysfakcji. Bo to, czego naprawdę pragnęła, nie było rzeczą materialną czy widzialną dla zmysłów, lecz czymś, co tkwiło głęboko w sercu i duszy.

Jak łatwo można zgadnąć, zapalczywy młodzieniec i tym razem nie dotrzymał danego słowa – ziołonej obietnicy miłości. Złamał serce pięknej Anny i kolejny już raz wydał rozkaz, by wrzucono piękną pannę do rwących wód rzeki Łeby. Wzburzony niegodziwym postępkiem księcia ojciec Anny, rzucił na niego kłątę, która już niebawem miała się ziścić. Dzień po dniu, ciężar przekleństwa coraz bardziej odciskał swe piętno na ciele i duszy Władysława. Jego kości stawały się jak stał, a jedynymi rzeczami, które wzbudzały jego apetyt, były muchy. W tym momencie Władysławowi nagle przypomniały się słowa Ignacego, ojca jego zmarłej ukochanej. W głębi jego umysłu rozbrzmiewały słowa kłątwy, które niegdyś rzucił na niego starzec, grożąc mu okrutnym losem, gdyby tylko zadał krzywdę jego córce. Młody książę, dotknięty gwałtowną burzą emocji, zaczął tonąć w głębinach rozpacz. Przeklinał samego siebie za swe złe czyny, za każdą łzę, jaką wyplakała jego ukochana, za każde cierpienie, które wyrządził. Słowa zielarza przeszywały jego umysł jak ostrze, wbijając się głęboko w jego serce i duszę, skazując go na wieczną żalobę.



Pewnego dnia, książę wędrował samotnie po Błękitnej Krainie. Zatrzymał się przed fontanną, której woda wesoło pluskała, a siedem posągów żabek na jej obrzeżach sprawiało wrażenie, jakby czekały przybycia księcia. Wpatrywały się w niego z nienawiścią. Każda z tych rzeźb przypomniawszy mu o krzywdzie, którą wyrządził swoim wybrankom, skazując je na okrutną śmierć.

Gdy Władysław siedział na brzegu fontanny, niespodziewanie poczuł, jak jego dusza zaczyna opuszczać ciało, jakby oddzielając się od niego, pozostawiając go na pastwę wypełniającego się przekleństwa – kary za popełnione straszne uczynki. Przez lata trwały gorączkowe poszukiwania, których celem było odnalezienie zaginionego młodzieńca. Jednakże, mimo wysiłków nawet najdzielniejszych rycerzy i doświadczonych żołnierzy, Władysław pozostał nieuchwytny. Rozpacz ogarnęła całą osadę, a cienie podejrzeń i wzajemnego oskarżania rozciągnęły się jak smutna mgła nad spustoszonymi ulicami.

Książę Władysław zniknął, nikt nie wiedział, gdzie podział się młodzieniec. Jedyną rzeczą, która po nim pozostała, był posąg żaby na brzegu fontanny, w towarzystwie siedmiu innych, które symbolizowały jego tragiczne zmarłe żony. Klątwa wypełniła się, Władysław zamieniony w posąg, skazany na wieczną samotność. Odtąd młodzieńcy, pomni losu księcia, nie rzucali słów na wiatr, wypełniali swoje śluby i dotrzymywali złożonych obietnic.